MARIA KONOPNICKA

Urbanowa

wolnelektury.pl

FUNDACJA nowoczesna Polska

MARIA KONOPNICKA

Urbanowa

Ktoby to pomyślał, że nazwisko, które potem tak szeroko zasłynąć miało w dziedzinie poezyi, usłyszę po raz pierwszy w kuchni, z ust starej, sześć razy na tydzień pijanej kucharki.

A przecież tak było, i to z okazyi stłuczonego garnka.

Wogóle garnki tłukły się u nas, jakby na komendę. Z rana bowiem Urbanowej „czegoś się ręce trzęsły", w południe „wszystko jej z rąk leciało", wieczorem zaś „cała nie mogła"[1]. Jeśli zaś przypadkiem „mogła", to zwykle wtedy „musiała duchem skoczyć naprzeciwko"[2], poczem w kuchni bywało prawdziwe pobojowisko.

Zresztą, jeśli mówię, że garnki się tłukły, to dlatego tylko, że mnie Urbanowa nie słyszy. Nie słyszy ona już oddawna, od bardzo dawna, nikogo... W obecności jej bowiem nieodważyłabym się była nigdy powiedzieć, że się garnek *stłukł*. Na to były specyalne określenia, których liczba mnożyła się co dzień, w miarę wzrastającej potrzeby. Garnek mógł się „oberżnąć", „okroić", „pęknąć", „wyszczerbić", „utrącić", „wyślizgnąć", lub zgoła „klapnąć". Przy takiem bogactwie wyrażeń, malujących każdy pojedyńczy przypadek, już nie wiem, coby za garnek był, żeby się koniecznie upierał przy tem, jako został „stłuczony".

A ponieważ żaden *stłuczony* nie był, przeto Urbanowa nigdy ich nie wyrzucała, ale takich inwalidów, rzędami ustawionych, miała w kuchni całe police i utrzymywała cały ten lazaret w największym porządku.

Każdy niedobitek miał nie tylko swoje miejsce, ale także i swoją historyę.

Kiedy trzeba było obiad gotować, Urbanowa zdejmowała pierwszy z nich, wzdychając i kiwając głową.

— Jeszczebyś ty pożył, nieboraku, żeby nie fajerka... Garnek był, jak rzepa... Taki dzwon miał, że to ha!

Stawiała go i zdejmowała inny.

— Garncowy garnek... żebym tak zdrowa była! Jaka to polewa!... On jeszcze dziś więcej wart niż drugi cały...

Stawiała go i wzdychała mocniej jeszcze, poczem sięgała po trzeci.

— Na kanonickim rynku go kupiłam... Dziś sześć tygodni... Nie, łżę!... Dziś pięć tygodni i trzy dni... Złoty i groszy sześć dałam za niego. Żebym tak jutra doczekała, jak sprawiedliwie mówię... Żeby się nie był utrącił, toby do roku wytrzymał... Garnek, jak śkło...

Z kolei brała czwarty. Ten zawsze ją zastanawiał najmocniej. Opukiwała go, przeglądała pod światło i kręciła głową.

— I niech tu kto mądry będzie, którędy on ciecze?... A ciecze, choroba!...

I tak szło dalej i dalej, póki ten, w którym już naprawdę rosół wstawiać miała, z trzęsących się rąk jej nie rymnął na ziemię.

Wtedy nastawał sądny dzień w kuchni.

— Masz, babo, redutę![3] — wołała Urbanowa, uderzając, w suche, pomarszczone ręce. — Znowu skorupa! A bodajżeś zalśnuł![4]... Nienastarczone rzeczy z temi skorupami... No, i rób, co chcesz! Taki nowy garnek... A bodajżeś zmarniał!... Półsiodma czeskiego[5]

[1] *„cała nie mogła"* — zaniemogła. [przypis autorski]
[2] *„musiała duchem skoczyć naprzeciwko"* — t. j. do szynku. [przypis autorski]
[3] *reduta* — bal maskowy. [przypis autorski]
[4] *zalśnuł* — t. j. oślepł. [przypis autorski]
[5] *półsiodm czeski* — moneta wartości 6 groszy. [przypis autorski]

dałam… Tygodnia nie ma… A żeby to choroba z takiem gospodarstwem!… Ale to tak, kiedy żelaznych garnków w domu niema, tylko same skorupy…

Jakem była u państwa Asnyk, to tam nijakich skorupianych garnków nie było. Same żelazne, jeden w drugi, jak wybrane… Żebym tak jutra doczekała, jak nie łżę… Same żelazne!… Żebym tak mego Jaśka szczęśliwie wychowała!…

Po tym pierwszym wybuchu do wieczora już było w kółko jedno i to samo.

U państwa Asnyk było tak a tak, u państwa Asnyk nigdy tego nie bywało, u państwa Asnyk tego nauczona, u państwa Asnyk do tego nie nawykła… słowem, gotowy prejudykat[6] na każdą porę dnia i nocy i na wszystkie życia kuchennego wypadki.

Przyszło do tego, że bardzo wiele rzeczy dla świętego spokoju, robiło się u nas tak jak „u państwa Asnyk".

Jedne żelaźniaki szły jakoś oporem, gdyż ojciec mój był na tym punkcie twardym konserwatystą[7] i utrzymywał, że dobry rosół tylko z glinianego garnka być może.

Stąd powstawały różne zaburzenia, którym nie umiałam zapobiedz, lubo byłam bardzo poważną, dziesięcioletnią osobą, trudniącą się naczelnym zarządem naszego sierocego domu, pomiędzy odrabianiem lekcyi do księdza Kubusiewicza a strojeniem lalek.

Tu wyznać muszę z całą pokorą, że skutkiem zupełnego w owe czasy braku poetyckich przeczuć, nazwisko „państwa Asnyk", rodziców poety[8], obrzydło mi tak, żem go po prostu znieść nie mogła i uciekałam w ostatni kąt, ile razy Urbanowa rozpoczynała swoją Odysseję[9] o żelaznych garnkach.

A było tego coraz więcej i coraz częściej. Z początku raz, dwa razy na tydzień, potem codzień, potem jeszcze wieczorkiem, potem od rana do nocy. Jedyny wyjątek stanowiły soboty.

W soboty i ręce mniej się Urbanowej trzęsły, i nie tak jej wszystko z nich leciało, i takiego trajkotania o „państwu Asnyk" nie było.

Od południa za to grzała Urbanowa wodę, czasem ług nawet, dobywała resztki z całotygodniowych obiadów, szykowała nici i łatki, prosiła mnie o mydło i nawleczenie igły, a wszystko to, popłakując i wycierając nos w gruby kuchenny fartuch, a wyglądając coraz na schody. Nad wieczorem przychodził Jasiek. Wysoki był, chudy, czarniawy, ospowaty i terminował u szewca Pośpieszyńskiego. Lat miał może ze szesnaście. Przychodził zwykle brudny, obdarty, z miną dziwnie wygłodzoną. Urbanowa przyjmowała go szturchańcem w bok lub w kark, gdzie się dało, wpychała go do kuchni i zaczynała płakać. Chłopak całował ją w rękę, siadał na kuferku i patrzał osowiały to na matkę, to na przykryte rynki w kominie.

Dotąd pamiętam i te chmurne, a chciwe w stronę komina spojrzenia, i te jego długie, cienkie nogi w trepach, zwieszające się z wysokiego kufra…

Lubiłam bardzo Jaśka. Raz, że nigdy przy nim nie było mowy o „państwu Asnyk", a także i dlatego, że mi obiecał uszyć trzewiczki dla najstarszej z moich lalek — Anusi. Cuda, jakie o trzewiczkach owych opowiadał, były niewyczerpanym przedmiotem naszych rozmów, w czasie których zapominałam zupełnie o swojej powadze gospodyni domu, ale, wlazłszy na wysoki kuchenny stołek, klękałam na nim i, zapatrzona w Jaśka, wycierałam łokcie po kuchennym stole.

Zachwytów wszakże moich nie uwzględniała Urbanowa bynajmniej i wypraszała mnie zwykle za drzwi.

Ale ja i tak widziałam przez dziurkę od klucza, że matka najpierw ściąga z Jaśka spencerek i kamizelczynę, że nalewa potem na miednicę wody, bierze mydło, nagina chłopaka nad stołek, przyczem daje mu w kark raz, albo dwa razy, że ściąga mu z rękawów koszulę i szoruje szyję, głowę, twarz, uszy i ręce, czyniąc zaś to wszystko, co chwila nos uciera i płacze.

Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego? Czy że koszula była taka czarna, jak sadze, czy że na grzbiecie chłopaka było tyle sińców, czy że mu żebra omal nie wyłaziły przez skórę…

[6]*prejudykat* — wyrok, stanowiący wskazówkę dla późniejszych wypadków. [przypis autorski]
[7]*konserwatysta* — zachowawca. [przypis autorski]
[8]*Adam Asnyk* — poeta polski, ur. w r. 1830 umarł w r. 1896. [przypis autorski]
[9]*Odysseja* — poemat starogrecki o rozlicznych przygodach na morzu i lądzie, potem wogóle długie opowiadanie. [przypis autorski]

Wymywszy Jaśka, dobywała Urbanowa czystą koszulę, z którą chłopak szedł za komin, a gdy wylazł z tej kryjówki już obleczony, czesała go, szturkając w kark, jeśli nie dość głowę przychylał, przyczem znów zaczynała płakać i nos wycierać co chwila. Po tej dopiero operacyi dobywała z pieca rynki i garnuszki, a kiedy Jasiek jadł, łatała jego ubranie, popłakując i wzdychając ciężko. Celem mojego czatowania przez dziurkę odklucza było właśnie jak najrychlejsze wypatrzenie tej szczęśliwej chwili. Wpadałam wtedy do kuchni, a Jasiek zaczynał mi na nowo opowiadać, po raz setny może, jakie to będą owe Anusine trzewiczki.

Miałam je dostać na gwiazdkę, ale nie dostałam, bo Jasiek był srodze czemś zaturbowany.

Tymczasem przyszła wigilia Trzech Króli…

Wieczór był mroźny, pogodny, szopka chodziła po mieście; nie taka tam stajenka malowana, z wołem, osłem i „Małgorzatką, tańcującą z huzarami", ale prawdziwy teatr, z żywych, mówiących osób, między któremi była śmierć, anioł i dyabeł.

Kiedy pokojówka wpadła na schody z krzykiem, że już idą, serce we mnie zatrzęsło się tak, żem głosu wydać nie mogła.

Był to pierwszy teatr, jaki widziałam w mem życiu.

Trzeba było wszakże czekać długą jeszcze chwilę, zanim przedstawienie odbyło się na dole u gospodarza. Myślałam, że się to nigdy nie skończy. Rozległy się nareszcie na schodach ciężkie kroki i brzęki łańcucha, a do stołowego pokoju weszli aktorzy, poprzedzeni przez straszliwie czarnego, z wywieszonym aż na piersi, czerwonym, sukiennym językiemdyabła, który się skłonił i rzekł piekielnym basem:

— Niech będzie pochwalony!

Chwyciłam pokojówkę za kaftan. Dusza we mnie zamierała…

Za dyabłem wbiegł lekkim krokiem minister króla Heroda. Ten miał na sobie obcisłe do kolan pantalony, niebieską zarzuconą na ramię pelerynę z jakiejś rozprutej spódnicy i biret[10], z pięknem białem piórem z angielskiej bibułki.

Dworak skłonił się uprzejmie, wziął krzesło z pod ściany, postawił na środku pokoju, poczem, schyliwszy głowę, drzwi przed monarchą otworzył. Król Herod wszedł chmurny, „w zamysłach", ze spuszczoną głową; miał długi, czerwony, widocznie z poszwy[11] jakiejś zaimprowizowany płaszcz, berło w ręku i złotą koronę. Twarz jego wydała mi się jakby znajoma jakaś…

Tuż za nim wsunęła się nieludzko biała śmierć, odziana prześcieradłem, z pod którego wyglądały buty z cholewami, i z kosą w ręku stanęła za królewskim tronem.

Nie widział jej wszakże, zbrodniczym myślom oddany Herod, a rozparłszy się w swojej trochę jeszcze zapierzonej purpurze, rozpoczął sztukę krwawym dyalogiem[12].

Zaledwie jednak wymówił pierwsze jego słowa, kiedy ode drzwi dało się słyszeć głośne klaśnięcie w dłonie i krzyk przenikliwy:

— Jasiek! Mój Jasiek! Mój król! Mój królewicz złoty!

I, zanim Herod mógł się opamiętać, już Urbanowa rzuciła się przed nim na ziemię i w uniesieniu najwyższej radości, ręce jego i kraj szaty z płaczem całować zaczęła.

Zrazu monarcha, nie chcąc wychodzić z swej roli, próbował monologować[13] dalej; nagle przecież głos mu się złamał, usta zadrgały, a po zbladłej twarzy łzy, niby iskry srebrne, migały jedne za drugą…

Zrobiło się zamieszanie. Minister głośno sarkał, że się król „na nic zgapił". Śmierć radziła raz jeszcze wszystko rozpocząć na nowo, tło zaś tej jedynej w swoim rodzaju sytuacyi[14] tworzył piskliwy, perliczy[15] głos anioła, który od początku przedstawieniaw równych odstępach wyśpiewywał z za pieca: *Gloria! Gloria in excelsis Deo!*[16]

I znowu:

Gloria! Gloria in excelsis Deo!

---

[10]*biret, beret* — czapka rogata. [przypis autorski]
[11]*poszwa* — poszewka na poduszki. [przypis autorski]
[12]*dyalog* — rozmowa. [przypis autorski]
[13]*monologować* — przemawiać do siebie samego (na scenie). [przypis autorski]
[14]*sytuacya* — położenie, zdarzenie. [przypis autorski]
[15]*perliczy* — od: perlica, perliczka. [przypis autorski]
[16]*Gloria! Gloria in excelsis Deo!* (łac.) — Chwała Panu na wysokościach! [przypis autorski]

Co do dyabła, ten ani na chwilę nie stracił rezonu[17]; ale, stanąwszy przed królem Herodem, uderzył w podłogę wielkim czarnym drągiem i, brzęknąwszy łańcuchem, zaryczał:

„Zaklinam cię, przeklinam cię przez ten kij dębowy!”...

Na widzach zrobiło to piorunujący efekt[18], a monarsze przywróciło straconą równowagę umysłu. Ponieważ zaś Józka, pokojówka, i młodsza z drugiego piętra odciągnęły tymczasem Urbanową na stronę, przedstawienie odbyło się szczęśliwie, aż do tej stanowczej chwili, kiedy król, ścięty kosą śmierci, opuszcza na ramię ukoronowaną głowę, a dyabeł nadziewa go na widły mówiąc:

«Królu Herodzie! Za twe zbytki
Pójdź do piekła, boś ty brzydki!»

Od owej szopki to i owo zmieniło się u nas.

Garnki wprawdzie po dawnemu się tłukły, ale o „państwu Asnyk” nie było tak często mowy. Za to czas zaczął się liczyć w naszej kuchni od całkiem nowej ery.

— O la Boga! — mówiła teraz Urbanowa — a toć ja ten garnek kupiłam w tydzień potem, jak Jasiek był królem! A on już ciecze, choroba!

Albo też:

— Ale gdzie zaś, panienko! Przecie my ten sążeń drzewa zaczęli akurat trzy dni przed tem, nim Jasiek był królem!

A mówiła to z taką powagą, z takiem przekonaniem, jakby królestwo Jaśka było spełnionym faktem[19] politycznym i dało się w ściśle oznaczonych granicach na karcie geograficznej wykazać. Zaczęła też w tym czasie przebąkiwać, że musi Jaśka od Pośpieszyńskiego odebrać, bo „co mu ta po siewstwie”.

Jeszcze i w tem zaszła zmiana, że Urbanowa nie myła teraz króla Heroda sama, ale, szturchnąwszy go na powitanie, nalewała wodę, dawała mu mydło do ręki i kazała samemu sobie „kosierować”[20] — jak mówiła — uszy, twarz, szyję i głowę, tylko, stojąc nadnim, pilnowała, żeby to zrobił „dokumentnie”[21]. Czesania przecież nie wyrzekła się jeszcze.

Mniej się jej także ręce jakoś trzęsły. Do dawniej już uprzywilejowanej pod tym względem soboty przybyła teraz i niedziela jeszcze.

W niedzielę po południu, uprzątnąwszy kuchnię, otwierała Urbanowa swój wysoki kufer i, wydobywszy z niego monarszą Jaśka purpurę tudzież koronę z pozłotka[22], kładła je na swojem łóżku i przypatrywała im się długo z uśmiechem na zwiędłych ustach, kiwając głową i ocierając oczy świeżo wypranym fartuchem.

Jeśli chłopak przybiegł do matki, to go prosiła:

— Mój Jasiek! Mój złocisty! Zawdziej-no na siebie ten ornat i koronę!... Niech ja się ciebie napatrzę! Niech ja się nacieszę!

Jasiek się wzdragał, ale zwykle kończyło się na tem, że „zawdziewał”, co matka chciała, a stara uderzała z klaskiem w dłonie, wołając:

— Istny król! Na króla się rodził! Żebym tak zdrowa była, jak na króla! Przypatrzcie się, moi ludzie... Istny król!...

Był to wszakże ciągle jeszcze ten samczarniawy, chudy, ospowaty drągal, tylko, że purpura coraz krótszą na niego się stawała.

Czasem też recytował[23] swoją rolę. Słuchałam go z zachwytem, a Urbanowa zalewała się łzami. Żaden, najgenialniejszy nawet tragik[24] nie miał tak wzruszonych słuchaczy.

W trzy lata coś potem — podlotkiem już byłam — przyniósł ktoś wiadomość, że Urbanowa dogorywa w blizkiej suterynie. Jak stałam, tak zbiegłam po schodach. Oddawna już wprawdzie stara pijaczka nie służyła u nas, ale zawsze bardzo ją lubiłam.

[17]*stracić rezon* — tu: przytomności. [przypis autorski]
[18]*efekt* — wrażenie. [przypis autorski]
[19]*fakt* — wypadek. [przypis autorski]
[20]*kosierować* — myć dokładnie, szorować. [przypis autorski]
[21]*dokumentnie* — dokładnie. [przypis autorski]
[22]*pozłotek* — papier złocony. [przypis autorski]
[23]*recytował* — deklamował. [przypis autorski]
[24]*tragik* — aktor, grający w tragedyach. [przypis autorski]

Kiedym weszła, nie widziałam nic zrazu w tej wilgotnej, dusznej izbie, bo pod pułapem błąkały się dymy ze spalonego świeżo przez kumoszki „ziela". W pośrodku stała kupka kobiet, gwarząc półgłosem o różnych rodzajach śmierci. W głębi, na wysoko zasłanem kraciastą pierzyną łóżku, leżała stara Urbanowa. Twarz jej zaszła już cieniem śmierci; nikły oddech ledwo piersi jej poruszał, oczy tylko z wyrazem błogości i zachwytu wzniesione były do góry.

Lewa jej ręka przytrzymywała zapaloną gromnicę, prawa leżała na ramieniu Jaśka, który, wstrząsany głuchem łkaniem, z twarzą, ukrytą w matczynej pierzynie, klęczał przy łóżku w królewskiej purpurze i złotej koronie na głowie.

Z pod purpury ukazywały się oddawna widać nie łatane przez matkę, stare, spłowiałe spodnie i trepy na bosych, wychudzonych nogach.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/urbanowa/

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, Urbanowa, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1908.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: mararie@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0373-2